



# Nieznajoma z portretu

Camille de Peretti

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
L'INCONNUE DU PORTRAIT

Copyright © Calmann-Lévy 2024  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Na obwolucie wykorzystano obraz *Portrait einer Dame* znajdujący się w zbiorach  
Galleria d'arte moderna Ricci Oddi

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com  
wydawnictwoalbatros.com



## Fakty

W 1910 roku Gustav Klimt namalował zwróconą ku patrzącemu półprofilem młodą kobietę z rozpuszczonymi włosami, w wielkim brązowym kapeluszu, z nagimi ramionami i futrzaną etolą wokół szyi.

Obraz, wystawiony w 1916 roku w wiedeńskiej galerii Miethke, zatytułowany *Backfisch\**, kupił nieznajomy, którego nazwiska nie znaleziono później na żadnej liście ówczesnych klientów.

W 1917 roku, rok przed śmiercią, Klimt z nieznanych powodów przemalował to płótno: zamalował kapelusz i etolę, na ramiona dziewczyny zarzucił biały szal w kwiaty, a włosy upiął w grzeczny kok.

W 1925 roku włoska galeria Ricci Oddi z Piacenzy zakupiła obraz Klimta zatytułowany *Portret damy*, nie orientując się, że jest to mocno zmieniony, przemalowany *Backfisch*.

Dopiero w 1996 roku Claudia Maga, studentka historii sztuki Uniwersytetu w Piacenzy, dowiodła, że nie chodzi tu o dwa różne portrety, z których pierwszy jakoby zaginął, ale o jeden obraz.

---

\**Backfisch* (niem.) – tu „podlotek”.

Co dziwne, niedługo po tym odkryciu, dwudziestego drugiego lutego 1997 roku, obraz został skradziony i w ten sposób po raz drugi zniknął.

Śledztwo stało w miejscu aż do lata 2016 roku, gdy złodziej sam zgłosił się na włoską policję. Nie miał już obrazu, ale oświadczył, że jego klient obiecał zwrócenie dzieła po dwudziestu latach od wejścia w jego posiadanie.

W 2019 roku ogrodnik przycinający winorośl przy budynku Galleria d'Arte moderna Ricci Oddi znalazł ukryty worek na śmieci. W środku znajdowało się to płótno, w doskonałym stanie.

\* \* \*

Żaden ekspert, żaden konserwator sztuki ani organizator wystaw, żaden śledczy, nikt nie wie, kim była kobieta z portretu ani jaki sekret stoi za jego przedziwną historią.

# Rozdział 1

– Trzeba napluć, to będzie błyszczeć! – poradził dzieciakowi Isidor.

Ten, zdumiony, szeroko otworzył oczy. Spod warstwy brudu na jego twarzy prześwitywała blada cera, wyglądał na jakieś dwanaście lat.

– Mam pluć na ich buty? – spytał. – Głupka ze mnie robisz?!

– Trzeba napluć, mówię ci, oni to uwielbiają.

Isidor miał własną technikę, nie jedno solidne splunięcie, ale krótkie tfu, tfu, tfu! Krople śliny spadały na skórę i rozlewały się, zostawiając błysk na bucie. Nie było to wcale wstrętne, raczej odświeżające. Już od dwóch lat czyścił buty; miał własne krzesło, pudło na szczotki i pojemnik na pastę, pod ogrodzeniem parku Bowling Green, gęstą kratą z kutego żelaza, najeżoną u góry kolcami. Nie było to najgorsze zajęcie, dziesięć centów za parę butów, uczciwy zarobek. Klienci w większości okazywali szczodrość, niektórzy płacili nawet podwójnie, dzięki czemu być może należał do najlepiej opłacanych pucybutów w mieście.

- Jak masz naprawdę na imię? – spytał dzieciaka.
- Gabriel.
- A dlaczego wszyscy mówią na ciebie Boba?
- Nie wiem.

Isidor trochę zwątpił, czy szczeniak da sobie radę. On robił pastę sam: mieszał wosk z płatkami mydłanymi, dodawał terpentyny i dolewał wrzątku. I troszkę soku z buraków, żeby błyszczało. Tego triku nikomu nie zdradził. Jego kumpel Ben używał skórki od banana. Stare szmaty dostawali od pana Schmidta.

Ale żeby but świecił się, jak należy, trzeba było napłuć.

Co tu dużo gadać: pięć minut na parę, a gdy był duży ruch – przed otwarciem i po zamknięciu giełdy – mógł zrobić w godzinę nawet dziesięć par. A skoro dobry robotnik dostaje dwadzieścia dolców tygodniowo...

– Policz sobie! Trzydzieści par dziennie to daje trzy, a czasem, jeśli zdarzy się jakiś dobrodziej, cztery dolce. Stary, to osiemnaście dolarów tygodniowo!

Trochę się przechwalał, ale dla dzieciaka takiego jak Boba nawet szesnaście dolców było majątkiem.

– No... ale prawda, że dużo robi miejsce – musiał przyznać Isidor.

Sekretem jego powodzenia było to, że zawsze wydawał się zadowolony i uśmiechnięty. I rozmawiał z klientami. Kiedy się uśmiechał, w jego błękitnych oczach błyszczała inteligencja.

- Jak dzisiaj zdrowko szanownego pana? Jak interesy?
- Całe szczęście, że miał miłą dziecięcą twarz, bo jako

dziewiętnastolatek był naprawdę za stary na to zajęcie.

Nie robił planów. Wymyślał życie na bieżąco, spontanicznie i dzięki temu wiele razy uniknął tarapatów. Co tu dużo mówić, był zaradny i pomysłowy. Umiał bez skargi przyjmować ciosy i nie narzekał. Taki los. Wszyscy jego klienci, panowie w szapoklakach i wąskich spodniach, mieli podobną myśl: szkoda, że taki chłopak nie poszedł dalej, tylko jest pucybutem.

Na szczęście miał doskonale miejsce. Zainstalował się tu w chwili, gdy odszedł gość, który czyścił buty w Bowling Park, więc nikt Isidora nie pytał, jak zdobył to miejsce ani czy miał jakieś układy. Dzieciaki wchodzące w ten biznes wiedziały, że chodniki należą do tych, którzy ich pilnują.

Isidor nie miał łatwego dzieciństwa, nikt go nie przytulał ani nie spełniał jego kaprysów. Nie puszczał stateczków na stawie w Central Parku pod okiem niani w czepku ze wstążkami.

– Jak tam dziś interesy, psze pana?

Mężczyzna wyciągnął do niego nogę. Nie był to stały klient, ale miał biały kołnierzyk i krawat w szerokie paski, jak mężczyźni pracujący w tej okolicy.

Isidor z miejsca wziął się do roboty. Refleks i energia – bankierzy z Wall Street to uwielbiali.

– Wspaniale, chłopcze! Wszystko idzie w górę, w górę, w górę!

– Ma pan RCA\*?

---

\*Radio Corporation of America.

– Pewnie, chłopcze, pewnie! Interesujesz się nowymi wynalazkami?

– Interesuję się wszystkim, pszę pana.

Boba patrzył na Isidora oczami jak spodki. Nie miał zielonego pojęcia, co to RCA, chociaż to był istny cud. Niektórzy mówili, że kiedyś można będzie zamontować radio w samochodzie! Wszyscy klienci Isidora kupili te akcje. Akcje RCA i Coca-Coli, bo wraz z wprowadzeniem prohibicji akcje Coca-Coli w ciągu miesiąca wzrosły o 25%. Czy Boba zdoła go zastąpić? Będzie musiał. Tak czy inaczej, Isidor nie chciał już być czyścibutem, to pewne.

Z powodu Lotte.

Tfu, tfu, tfu... Zacisnął szczęki i przyspieszył pucowanie. Uśmiechał się miło do klienta, ale dzieciakom z ulicy, takim jak on nędznym szcurkom, nie oddałby złamanego pensa. Jeśli Boba przejmie jego puszkę z pastą, pudełko ze szczotkami, krzesło i tę kurę znoszącą złote jajka, jaką było miejsce przy Bowling Green, będzie musiał dochować mu wierności.

Oczywiście Isidor mógł odstąpić chłopakowi miejsce i sekretny przepis na cudowną pastę w zamian za parę groszy, ale tym, na czym mu naprawdę zależało, były drogocenne informacje.

Odkąd postanowił, że wszystko, co zarobi, będzie inwestował w giełdę, nie wolno mu było popełnić błędu. Spekulowali wszyscy, więc dlaczego nie on? Codziennie na pierwszych stronach gazet pisano o szczęściarzach, którzy zbili fortunę, bo odważyli się zaryzykować. Majątek zdobyty w sekundę... niesłychane historie! Przecież on nie jest głupszy od innych.



– Jak tam dziś interesy, psze pana? Idą?

Z osiemnastu dolarów tygodniowo spokojnie płacił komorne za pokój, który dzielił z Benem, stać go też było na niezłą kawę, salami, korniszony, ziemniaki i czasem piwo z kontrabandy. Niespecjalnie lubił alkohol, no i nie chciał mieć kłopotów z policją, nie mówiąc o tym, że za gin z tonikiem trzeba było zapłacić w nielegalnym barze trzydzieści pięć centów. Dziękuję bardzo, zwłaszcza że ryzykowało się utratą wzroku. Krążyły przerażające historie o spirytusie skażonym metanolem, od którego się ślepiło.

Zarabiając po osiemnaście dolarów tygodniowo, Isidor i jego kumpel Ben mogli sobie pozwolić na niedzielny dancing w Loew's Theatre na Coney Island. Isidor nie był najlepszym tancerzem, ale dziewczęta się do niego kleiły; miał powodzenie.

W niedziele na Coney Island gromadziły się tłumy! Robotnicy, studenci, marynarze, szmuglerzy i baseballiści. Zjeżdżały tu całe rodziny, dzieci kąpały się w morzu, wrzeszcząc z radości, plaże były wypełnione do ostatniego miejsca, kupowano lody, a w dodatku był tam Cyklon, największy rollercoaster na świecie. Cyklon nieźle dawał popalić. Isidor pomyślał, że jeśli kiedyś jakaś panna zgodzi się z nim tym pojechać, to się z nią ożeni. Gdy pierwszy raz wszedł do wagonika i zawisł do góry nogami, przytrzymując głowę, żeby mu nie odpadła, myślał, że serce mu się zatrzyma. No, ale bilet kosztował dwadzieścia pięć centów!

– Dziękuję panu bardzo, dobrego dnia!

Boba chwycił szmatkę.

– Następnego ja zrobię, dobra?

Isidor kiwnął głową i włożył ręce do kieszeni.

– Dobra, ale pamiętaj, żeby zapytać, jak idą interesy!

\* \* \*

Powodem, dla którego Isidor postanowił zrezygnować z tego intratnego zajęcia, była Lotte. Dziewczyna z grubym jasnym warkoczem, w białej sukience i doskonale wypastowanych bucikach. Nawet gdyby zaczęła krzyżeć na rollercoasterze, nic by to nie zmieniło. Ze swoją porcelanową cerą i różowymi policzkami lalki uosabiała bowiem absolutną doskonałość. Pierwszy raz wypatrzył ją, gdy była w grupie roześmianych przyjaciółek. Pilnowała ich starsza pani. Pomyślał, że to pewnie ciotka albo kuzynka, a ona z miejsca obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Ale to była niedziela na Coney Island – tłum, hałas, śmiechy – więc jakoś udało mu się podejść do dziewczyny. Zapytał, jak ma na imię.

– Lotte – usłyszał.

Lekki niemiecki akcent zabrzmiał w jego uszach jak słodka muzyka.

– Lotte? Miło mi pannę poznać, jestem Werter! – przedstawił się z niezwykłą przytomnością umysłu, a dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia, bo nie знаła żadnego chłopca w jego wieku, który czytałby Goethego.

Od czasu pierwszej wojny światowej niemieccy emigranci na amerykańskiej ziemi starali się nie rzucać w oczy. Szalała antyniemiecka propaganda i w licealnych lekturach *Cierpienia młodego Wertera* zostały zastąpione *Przygodami Tomka*

*Sawyera*. Oczywiście Lotte nie mogła wiedzieć, że to była jedna z niewielu książek, które Isidor przeczytał. Dla czyścibuta oznaczało to więcej niż szczęśliwy traf – to było przeznaczenie.

Starsza pani szybko powstrzymała ich zapędy. Jeśli chłopak zaczyna rozmowę z dziewczyną od książek, łóżko jest niedaleko. Jak gospodyni odganiająca skradającego się lisa, chciała ochronić swoje białe gąski. Ale na szczęście dla Isidora pannom zachciało się lodów. Czując, jak minuty uciekają, zapytał Lotte, do którego liceum chodzi (do Spence na Upper East Side), czy już się przejechała na rollercoasterze (tylko raz, koleżanki bardzo się bały, ona nie), czy często spędza niedziele na Coney Island (tak, zwłaszcza gdy jest ładna pogoda). Może więc spotkają się za tydzień (może).

Postawił te pytania w odpowiedniej kolejności, żeby nie wydać się zbyt nachalnym, i obdarzył dziewczynę swoim najpiękniejszym uśmiechem, tym specjalnym, po którym klienci zawsze dorzucali mu parę centów. A potem czekał na nadejście następnej niedzieli tak, jak jeszcze nigdy w życiu na nic nie czekał.

Wpadł w obsesję na punkcie Lotte. Musiał wiedzieć, gdzie jest, co robi, dokąd idzie, czy myśli o nim tak jak on o niej.

– Nie wiem, jak ją znajdziesz w tym tłumie! – podśmiewał się jego kumpel Ben.

Tymczasem Isidor wypatrzył ją prawie od razu: stała wśród rozkrzyczanych przyjaciółek. Na widok jasnego warokcza poczuł płomienie w brzuchu. Była tam i ona też go zauważyła!

Poszedł prosto do niej bez śladu nieśmiałości, bez najmniejszego wahania. Od razu zaczęli rozmawiać tak, jakby rozstali się wczoraj; nie było momentów pełnej zażenowania ciszy. O tyle rzeczy chciał ją zapytać, musiał dowiedzieć się o niej wszystkiego, musiał ją wchłonąć. Starał się na nią za bardzo nie patrzeć, bo usta Lotte, jej ramiona, małe pierś, których kształt odgadywał przez cienką białą bawełnę, to wszystko sprawiało, że gubił wątek. Kiedy już musiała iść, chwycił ją za rękę, a ona odruchowo się cofnęła. Poczul się zdruzgotany.

Ale w kolejną niedzielę znów tam była. I w następną, i jeszcze następną. Wreszcie przyjaciółki Lotte na widok Isidora zaczynały chichotać.

\* \* \*

Facet w krawacie wsunął Bobie do ręki dziesięciocentówkę. Dzieciak wypluł na jego trzewiki cały zapas śliny, naprawdę się starał.

– Słuchaj, Boba, zostawię ci to miejsce, ale pod warunkiem, że będziesz z nimi gadał – powiedział Isidor.

– Ale o czym?

– O ich pracy, o tym, co planują. A wieczorem będziesz mi opowiadał, rozumiesz?

Było jasne, że Boba nie rozumiał.

\* \* \*

Lotte opowiedziała Isidorowi historię swojej rodziny. Była córką niemieckiego inżyniera, który przyjechał do Nowego

Jorku, mając dwadzieścia dwa lata, a teraz był magnatem higieny ustno-zębowej, psiakość. Tym bardziej, psiakość, że Isidor na początku nie zrozumiał. Kiedy Lotte mówiła „fabryka taty”, myślał, że jej ojciec pracuje w fabryce produkującej pastę do zębów. Minęło kilka niedziel, nim do niego dotarło, że ta fabryka należy do jej ojca. Kupił tubkę pasty Chlorodon Smak Świeżości i z religijnym namaszczeniem wypluwał ją co rano, rozanielony, do umywalki.

Nie przyznał się Lotte, że jest czyścibutem, ale żeby nie za bardzo mijać się z prawdą, powiedział, że pracuje jako sprzedawca w sklepie z butami. I jak wszyscy, którzy wierzą w swoją szczęśliwą gwiazdę, a nie mają pojęcia o zasadach społecznych, nie zorientował się, że dziewczynie było wszystko jedno, czy sprzedaje buty, czy je czyści, ponieważ zarówno jedno, jak i drugie było dla niej nie do przyjęcia. Widząc na jej twarzy wyraźne rozczarowanie, poczuł mdłości. Ale przecież kiedy się ma dziewiętnaście lat, przeszkody są dla miłości tym, czym podmuchy wiatru dla ognia – małe go gaszą, duże rozniecają.

\* \* \*

– Większość tych gości, którym będziesz czyścił buty, pracuje na Wall Street – zwrócił się do Boby. – Wystarczy, że zapytasz, jak idą interesy... słyszałeś, jak to mówię. A potem, ot tak, rzucisz: „Więc w co dziś warto zainwestować, proszę pana?”. Musisz dokładnie zapamiętać odpowiedzi i wieczorem mi je powtórzysz. To chyba proste, nie?

– Tak, proste.

Wybrał Bobę, bo chłopak miał najbardziej niewinną buzię z całej dzielnicy irlandzkiej.

Od pewnego czasu wyobrażał sobie, że Lotte przypadkiem przechodzi obok ogrodzenia Bowling Green i wpada na niego, a on trzyma w ręce szmatę i szczotkę do butów. Koszmar. Dosyć tego, Boba przejmuję interes, postanowione, a on będzie przy nim jeszcze ze dwa, trzy dni, by zobaczyć, jak dzieciak sobie radzi, a potem go zostawi, niech sam pluje na buty.

## Rozdział 2

Głęboka ciemność w pokoju na drugim piętrze przytłaczała swoim ciężarem matkę i niemowlę z otwartą buzią. Martha usłyszała dzwony na Anioł Pański – była szósta rano. Sięgnęła do kołyski, którą miły sąsiad z pierwszego piętra sklecił ze skrzynki, i wyjęła jeszcze śpiące dziecko. Podsunęła koszulę i przystawiła je do ciepłej piersi.

Tłuściutkie rączki chwyciły sutek i popłynęła z niego kropla mleka. Malec zaczął cicho ssać. Było to dziecko, które nie płakało, nigdy. Nawet tuż po urodzeniu nie wydało z siebie ani pisku, tak że Martha pomyślała, że jest martwe. Zresztą tak byłoby chyba lepiej dla nich obojga. Podciągnęła kołdrę, bo było zimno. Kiedy dziecko zaczęło mocno szczypać pierś, było to bolesne i słodkie zarazem.

Spojrzała przez jedyne w mieszkaniu okno: dzień jeszcze nie wstał. Niemowlę ssało coraz mniej energicznie – niedługo się nasyci. Poczekała jeszcze kilka minut, odwlekając chwilę, gdy będzie musiała stanąć bosą na zimnej, pokrytej kurzem podłodze. W końcu, jeszcze niezupełnie rozbudzona, wyciąła dłonią świecę i zapaliła ją, pocierając zapalną.

W pokoju pojaśniało, ukazały się kontury stołu w kącie i szafy, w której trzymała bieliznę i jedzenie. Schyliła się, by poruszyć żarem w palenisku. Co wieczór zamykała drzwiczki płonącego piecyka, a rano dorzucała mały kawałek węgla. To wystarczało, dziecko miało osiem miesięcy i było silne. Postawiła czajnik na fajerce, żeby zrobić sobie kawy. Zza ściany słyszała powarkiwanie. Sąsiad był brutalem i obojętnie, czy bił żonę, czy się z nią kochał, odgłosy brzmiały tak samo. Przewinięła dziecko i ubrała.

Swędziały ją dłonie. Mimo że wcierała w nie co wieczór odrobinę masła, zwłaszcza przy nasadzie kciuków, skóra wciąż się łuszczyła. Nowo zatrudnione robotnice kierowano do pracy przy kadziach, a środki, które dodawano do wody, wywoływały czerwone plamy na rękach; podrażnienia były nie do wytrzymania. Martha wiedziała, że nie wolno się drapać, bo będzie jeszcze gorzej. Obcinała paznokcie najkrócej, jak mogła, ale w nocy śniło jej się, że ją swędzi, i nie mogła się powstrzymać. Rano miała pokrwawione dłonie, a na pościeli były czerwone plamy.

Umyła się pospiesznie i upięła sięgające aż do bioder włosy w ciasny węzeł na czubku głowy. Spryskała twarz zimną wodą i dopiero wtedy się dobudziła. Prawie gotowa do wyjścia, ukroiła kromkę chleba, zawinęła z powrotem bochenek w ściereczkę i na stojąco wypila kawę, trzymając dziecko na biodrze. Ubrała malucha w ciepły kaftanik i zarzuciła sobie na plecy szal. Czas naglił.

Piastunka mieszkała w domu naprzeciwko fabryki, co było bardzo wygodne. Kobieta, chuda jak wyciągnięta z wody



kotka, opiekowała się siedmiorgiem dzieci, córkami i synami robotnic. Nie była złą niańką, ale miewała swoje humory: raz była wesoła i pełna entuzjazmu, raz wyczerpana. Nosila długi niebieski fartuch, cały zaplamiony łzami i smarkami, bo dzieciaki albo w niego płakały, albo wycierały nim nosy.

– Dzień dobry, pani Prato!

– Dzień dobry, Martho.

– Weźmie go pani?

Dziecko wyciągnęło rączki do niańki, a ta przyjęła je z uśmiechem. Gdyby wszystkie dzieci były tak mało kłopotliwe jak on.

– Tak, tak, proszę mi go dać. Do zobaczenia!

W cenę za opiekę wliczony był talerz zupy w południe dla matek, które jeszcze karmiły, co było bardzo korzystnym układem. Wybiegały z fabryki z nabrzmiętymi piersiami, szybko zjadały zupę, karmiły dziecko i wracały zaraz do pracy.

Martha ustawiła się w długiej kolejce przed bramą fabryki. Było ich tam ze sto, kobiet, które w chłodzie wczesnego poranka spinały włosy w ciasne wężły. Zaczynały pracę o siódmej, kończyły dwanaście godzin później. Martha stała przy wielkich kadziach z dwiema innymi dziewczynami silnymi jak ona, Anną i Zitą. Piegowata Anna miała dobre serce. Zita miała tak wielki brzuch, że musiała bardzo uważać, żeby nie stracić równowagi, gdy mieszała w zbiorniku drewnianą tyczką.

Wielkie kadzie umieszczono daleko od głównego budynku z powodu smrodu, jaki się z nich wydobywał. Był tak silny, że na początku Marthę wciąż bolała głowa. Z czasem się

przyzwyczała. Manufaktura produkowała pióropusze dla wojska. Dostarczane pióra były wilgotne i ciężkie od mieszaniny alkoholu ze słoną wodą, w której je dezynfekowano.

Martha, Anna i Zita pracowały przy odtłuszczaniu. Wrzucały torby piór do wielkich zbiorników i mieszały brązową wodę, która powoli stawała się jak mleko od detergentu. Tysiące szarych piór żurawi kleiły się do siebie i plątały. Kiedy kłęb ostro zakończonych stosin i maleńkich lotek wkręcał się hipnotyzująco pod powierzchnię beżowej wody, trzeba było odwrócić kierunek mieszania, żeby pierze za bardzo się nie sklejało.

Praca była monotonna, wymagała dużo wysiłku, ale siedemnastoletnia Martha była odporna na ból. Nie mówiła tak dużo jak jej dwie towarzyszki, Anna i Zita, które od razu się nią zaopiekowały. Może poczuły litość? Musiały dostrzec w jej oczach smutną słodycz, jakby jej serce przydusił kamień milczenia.

\* \* \*

*Siostró burzowej rozpacz,*

*Patrz, trwożna łódka już tonie*

*Pod gwiazdami,*

*Milczącym obliczem nocy\*.*

Któregoś wieczoru Martha usłyszała poetów recytujących wiersze. To było cudowne. Jakby dotknęła palcem piękna.

---

\*Georg Trakl, *Skarga*, przełożył Andrzej Lem.

Przez krótką chwilę, akurat taką, żeby zdążyła się dowiedzieć, że piękno istnieje i że jest nie dla niej.

Zaczekała, aż minie zima. Dziecko miało już sześć miesięcy, był najwyższy czas. Któregoś ranka zapakowała do wózka kilka rzeczy, zaszyła skromne oszczędności w rąbek spódnicy, zawinęła włosy w węzeł i poszła brzegiem Dunaju, bo nie pozostało jej nic innego, jak opuścić to wielkie cesarskie miasto Wiedeń, przytłaczające wspaniałością nieskazitelnych fasad, powozów i warczących aut. Wiedeń, na którego trotuarach elegantki w kapeluszach z piórami obojętnie mijaly kobiety, które nazywano „dziewczynami z linii”, bo policja odgradzała niewidzialną linią część chodnika przeznaczoną na nagabywanie klientów. A w Wiedniu pełno było burdeli, nocnych klubów i kabaretów z kobiecym towarem dostępnym o dowolnej porze i za dowolną cenę. Panów w cylindrach i w czarnych surdutach załatwienie sobie damskiego towarzystwa na kwadrans czy na całą noc kosztowało tyle co paczka papierosów. Za tancerkę z opery płacono dwieście koron, a za niechlujnie umalowaną dziewczynę z ulicy dwie korony.

Martha nie była głupia, wiedziała, że takie jak ona wcześniej czy później lądują wśród zmęczonych, smutnych i głodnych kobiet, które sprzedają przyjemność bez żadnej przyjemności i wszystkie kończą w szpitalu. Była ładna, kiedyś nawet pozowała jakiemuś malarzowi. Ale miała swoją godność.

Prowadziła uczciwe życie. Wydawała tylko na jedzenie, mieszkanie i opiekę nad dzieckiem. Żadnych balów, rozrywek, żadnych wyjść, żadnego picia. W niedzielę szła do

pralni wyprać bieliznę dziecka, potem na mszę oczyścić duszę i pielęgnować wspomnienia miłości w spokojnym chłódzie kościoła. A ponieważ nie umiała wyobrazić sobie siebie wolnej, grzeszyła jedynie dumną myślą, żeby nikomu nic nie zawdzięczać.

Pchała i pchała wózek, aż trzydzieści kilometrów za Wiedniem, w Leobendorfie, zatrzymała się przed czerwonym szyldem kawiarni. Weszła i przy barze zapytała o pracę. Właścicielka obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– Proszę iść do tej fabryki, co robi ozdobne pióra. Jest na skraju miasta, na końcu głównej ulicy. Tam zatrudniają takie jak pani.

Martha miała świadomość, że stąpa po cienkiej linii nad przepaścią i do tego z dzieckiem na plecach. Ale wiedziała również, że w manufakturach mniej zwracają uwagę na panny z dzieckiem, a we wsiach jest dużo więcej bękartów niż dzieci z prawego łóża.

– Może lepiej niech mi pani zostawi dzieciaka, kiedy pani tam pójdzie.

– Naprawdę? Mogę go tu zostawić? Zobacz pani, jest bardzo grzeczny, w ogóle nie płacze.

Kobieta pokiwała głową.

– A tam! Sama miałam siedmioro, płacz mi nie przeszkadza. Ale niech się pani pospieszy!

\* \* \*

Majster zapytał, czy ma doświadczenie.

– Nie, ale jestem pracowita.

Referencje.

– Nie mam, ale jestem uczciwą dziewczyną.

To wystarczyło.

Odtąd całymi dniami, zgarbiona nad kadzią, mieszała wodę z piórami. Gdy wreszcie, wyczerpana, kładła się spać z dzieckiem przy piersi, ciepło bijące od niego usypiało ją i często nie miała już siły wstać, żeby odłożyć je do kołyski, którą zrobił dla niej pan Gruber.

\* \* \*

Pan Gruber bardzo lubił Marthę. Był o wiele za stary, żeby się do niej zalecać, ale mogła go poprosić prawie o wszystko; robiłby to dla sąsiadki po prostu z uprzejmości. Uśmiechał się do dziecka i szarmancko unosił czapkę, gdy mijali się na schodach. Zachowywał się tak, jakby Martha była damą, choć przecież była nikim. Kilka razy proponował jej kieliszek sznapsa – „jak przyjaciel z przyjacielem” – ale odmawiała.

Tego wieczoru zapukał do niej.

– Przepraszam, nie chciałbym przeszkadzać, ale mam kawałek szarlotki.

Otworzyła i stanęła w progu.

– Dziękuję, panie Gruber, bardzo miło z pana strony, ale nie trzeba było.

Uśmiechnął się.

– Jak tam dzieciak, dobrze?

– Tak, dziękuję, jest naprawdę grzeczny.

– Śpi?

– Tak.

– Niech mu pani nie daje ciasta, jest z rumem – powiedział i roześmiał się.

Martha miała wrażenie, że nieszczерze. Była bardzo zmęczona. Powinna go zaprosić, żeby razem zjedli ciasto, ale w jego zachowaniu było coś natrętnego; nie potrafiła powiedzieć co, ale czuła, że musi uważać. Chociaż zachowywał się bardzo uprzejmie, a ona była taka samotna. Dlaczego więc miałaby odrzucać przyjaźń serdecznego sąsiada?

Przede wszystkim jednak nie chciała się wydać źle wychowana. Wciąż trzymała rękę na kłamce. W postawie pana Grubera, który wciskał się w uchylone drzwi, przysuwając się do niej, było coś takiego, że poczuła zakłopotanie. Wciąż się do niej uśmiechał, nic nie mówiąc. Można by to nazwać małpim uśmiechem, choć Martha nigdy w życiu nie widziała małpy. Wydawało jej się, że sąsiad jej się narzuca, zmusza ją tą ciszą do uszanowania jego męskiego statusu. Odmowa byłaby dla niego afrontem. Musiała mu ułatwić sytuację.

Starala się uspokoić. Nic się nie dzieje, powtarzała sobie. Niemniej strach ścisnął jej gardło. Przestań, nie bądź głupia, ten człowiek po przyjacielsku chce ci pomóc, lituje się nad tobą. Wiedziała, że często wzbudza litość. Gdyby miała więcej odwagi, odczytałaby z pewnością tę litość w oczach pana Grubera, bo w swojej naiwności myślała, że oczy ludzi nie kłamią. I właśnie dlatego, że bała się ujrzeć w tych oczach coś innego niż przychylność i życzliwość, wpatrywała się uparcie w podłogę. Przez to wyglądała jeszcze ładniej, czy może delikatniej. Któż wie, jak postrzegali ją w tej chwili sąsiad z pierwszego piętra, ją, siedemnastolatkę, która zaszła w ciążę,

urodziła dziecko, uciekła z nim z Wiednia i wylądowała w tym podłym pensjonacie.

– Czy pani się dobrze czuje, Martho? – Pan Gruber położył dłoń na jej ramieniu.

Zamarła.

– Martwię się o panią. Niełatwo być matką w tak młodym wieku...

Zabrzmiało to szczerze. Odetchnęła. Pewnie jej się wydawało. Sąsiad był taki stary, mógłby być jej dziadkiem.

– To miło z pana strony, ale proszę się o mnie nie martwić. Po prostu dzień pracy jest bardzo długi i jestem zmęczona. Wie pan, myślę, że potrzebuję snu.

– Oczywiście, oczywiście, rozumiem, w takim razie... – Wbił w nią wzrok, źrenice miał rozszerzone od pożądania.

Przeszedł ją dreszcz.

– W takim razie... Dobranoc... Martho.

Serce zaczęło jej tak mocno bić, że bała się, że sąsiad to usłyszy i zobaczy jej strach.

– Dobranoc, panie Gruber – wyjąkała z trudem. – Bardzo dziękuję za szarlotkę.

Zamknęła drzwi tak wolno, jak tylko mogła, żeby mu nie pokazać, że zrozumiała.

Odtąd za każdym razem, gdy się spotkają, będzie się go bała. Przykleiła ucho do cienkich drewnianych drzwi i usłyszała, jak mężczyzna idzie na dół po schodach, powoli, jakby specjalnie przystawał na każdym stopniu, jakby jego kroki mówiły: „Jeszcze tu wrócę”.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).